

Michał Masłowski

1 Dnia 8 lutego odbyło się zorganizowane przez „Express Wieczorny”, TWP i Klub MPIK — w sali Klubu w Warszawie — spotkanie z Ireną Eichlerówną. Wieczór prowadził red. Aleksander Rowiński. Przygotował serwis pytań, dotyczących ról i życia Ireny Eichlerówny. Odpowiedzi na nie miały dać ogólny rys sylwetki aktorki i człowieka. Były to publicznie przeprowadzony, klasyczny wywiad.

Eichlerówna odpowiadała niechętnie. Wyglądało, jakby nie chciała powracać do zbyt silnych przeżyć. Jakby chciała koniecznie wtęczyć zamknąć w konwencji towarzyskiego spotkania. Weszła na salę radośnie podniecona, efektywna kobieta, która chce oczarować mężczyznę. Usiadła i uśmiechała się, jakby zbyt zażenowana, by samodzielnie coś począć. Spokojnie czekała na inicjatywę.

Pytania padały. Kilka z nich zbliżała, lecz gdy wracały — zaczęła tłumaczyć swą zdawkowość. Parę słów — i wracała do uśmiechu. Usiłowała ratować swój początkowy nastrój radośnej nieodpowiedzialności. Nastrój sali był jednak inny. Wyszło to na jaw zwłaszcza pod koniec, gdy poproszono o pytania. Wtedy kilka osób zachrypiętych ze wzruszenia głosem starało się złożyć jej hold. Padały słowa największe. Zapanował nastrój podniosłości. Eichlerówna starała się go opanować — inteligencją, rzeczowością wypowiedzianych zdań. Wypowiedziała swoje przemyślenia i my-

śli, swoje — w pewnym sensie — życiowe credo, osobistą mądrość, która — jak dla każdego — jest dla niej zapewne sensem wewnętrznej dyscypliny, kłamrą spinającą przeżyta w całość. Ale jej słowa trafiały w próżnię, ekscytacja była zbyt silna. Zamiast obniżyć temperaturę — jeszcze ją podwyższały.

Jak zwykle w takich przypadkach jedynie możliwym okazał się być kontakt emocjonalny, poza słowami.

2 Jej wypowiedzi najosobistsze były aluzją do dzisiejszości. I jeszcze — parę zdań na temat sposobu bycia. I parę wyznań. Składają się na filozofię przetrwania, optymizmu mimo wszystko.

Mówiła o zapomnianiu jako barierze szaleństwa. Przy swej nadwrażliwości w czasie pracy nad rolą nieuchronnie popada w stany prawie maniackalne. Trzeba do tego dodać „normalne” przejścia życiowe, które chyba nikogo z tego pokolenia nie oszczędziły. (Jak wynikało z rozmowy, przez pewien czas przebywała w obozie na Saharze). Zapominanie — jak mówiła — jest jedyną obroną przed własną psychiką, przed zbyt silnymi wspomnieniami. W jej domu bez przerwy gra jakaś muzyka. Mówiła o „normalności” jako niezbędnym oparciu i niezszczerzalnym marzeniu całego życia. I jeszcze o dyscyplinie wewnętrznej, dyscyplinie pracy jako niezbędnym warunku wytrwania.

Mówiła o tym tak zaciekle, że brzmiało to obsesyjnie niemal. Tak mówi człowiek, który trzyma się resztką sił, resztką godności. Który za realizację swojej zasady płaci najwyższą psychiczną cenę. Ciągłe nawracaly sarkastyczne aluzje do powszechnej dziś opryskliwości. Jakby człowiek miał drugiemu za-

zle, że ten żyje. Eichlerówna mówiła też o zasadzie uprzejmości, o tym, jak konieczne jest czynienie przyjemności drugim. Na tym polega życzliwość, bez której nie można i nie wolno, bo nie można i nie wolno bez przerwy się nawzajem ranić.

By dopowiedzieć tę myśl: na psychikę w dzisiejszym życiu i tak prawie nie ma miejsca. Stale wzajemnie rozjątrzenie się prowadzi ludzi do stopienia, nawet do — rozejrzymy się — otepienia. Stopienie jest lekarstwem bardzo wątpliwiej jakości, bo choć doraźnie uśmierza ból, pozwala rozwijać się chorobie. Ludzie brną wtedy we „wszystko mi jedno” i życie mechanizuje się, coraz bardziej mechanizuje. Konformizmy rozmnażają się w postępie geometrycznym. Dla aktora jest to szczególnie ważne, bo psychika jest — i wierzę, że długo jeszcze będzie — jego warsztatem pracy. Stopiona psychika u aktora jest jak rozstrojony instrument dla wirtuoza.

Psychikę można tępić, ale zniszczyć się jej przecież nie da; po-

wstają nerwice, depresje, otepienie. Albo można ją uszanować. Życzliwość będzie wtedy istotą szacunku dla drugiego. Uprzejmość jest często jedyną przeciwwagą chwil zbyt ciężkich.

Filozofia Eichlerówny będzie więc filozofią przetrwania pomimo nieżyczliwości i osamotnienia, pomimo własnej psychiki, która — urażona — wybucha, ale którą trzeba zdyscyplinować, ując w karby inteligencji. Inteligencją będzie właśnie uprzejmość.

3 Byłem na tym spotkaniu z Marią. Po wyjściu z sali stwierdziła, że Eichlerówna, owszem, bardzo jej się podoba jako aktorka, ale jako człowiek dużo mniej. Dlaczego? — Chwaliła się bez przerwy, dumna i zadowolona z siebie.

Maria ma naturę zdrową i silną. Raziło ją, zdaje się, mówienie — i to zaciekle, niemal patetyczne — o sprawach, które winny wynikać same przez się, o których nie powinno się mówić: o własnej psychice. Tezy wypowiedziane przez Eichlerównę, które jedyną być może pozwalają jej przetrwać różne stany depresyjne, uznala za chwalenie się własnymi zasadami. A godność, która każe trzymać „dobrą minę” — za pewność siebie i samozadowolenie.

Od początku spotkania Eichlerówna usiłowała zachować nastrój rozkosznej towarzyskiej nieodpowiedzialności. Stopniowo jednak, w miarę pogłębiania się treści słów, wylewalo się poprzez nie, jak poprzez szczeliny, gwałtowne wzruszenie. Pod koniec było już bardzo silne, choć nieokazywane: opanowane logicznością zdań, konwersacyjną formą wypowiedzi. Przypominała mi ona wtedy bardzo — nie w szcze-

gółach, po prostu w ogólnej idei — siebie w roli Mutter Courage, o której to roli pisał Kott: „Musiał przetrwać. Musi utrzymać stragan. Przeciw wojnie. I w tym Eichlerówna jest bardzo polska, bardzo warszawska. Ma za sobą gorzką mądrość okupacji. I wścieklą żywotność”.

Straganem dla niej jest sztuka. Tym większa tragedia, gdy nie gra. Wtedy pozostaje walka najsmutniejsza — o stragan — z samym sobą. Wtedy cały olbrzymi potencjał wewnętrzny musi zostać obrócony na walkę z załamaniem psychicznym. Człowiek spala się wtedy wewnętrznie, bezużytecznie i absurdalnie. Dopóki inny, ktoś drugi, nie zaakceptuje straganu, kupując towar. Bo załamania przychodzą, gdy nie ma jak potwierdzić słuszności własnych racji.

Na tym spotkaniu nie udało się osiągnąć kontaktu słownego, logicznego. Cóż, pewne pojęcia ukształtowały się u każdego inaczej. Ale udało się osiągnąć bardzo silny i prawdziwy kontakt emocjonalny. Pewnie dlatego Eichlerówna wychodziła ze spotkania bardzo poruszona i jakoś najgłębiej rozradowana.

4 Na sali przeważali ludzie starszego pokolenia. Na dźwięk jej głosu, na widok jej uśmiechu wzruszali się i mieli lzy w oczach. Gdy potem mówili, to głosem chrapliwym, nie umiejącym sobie poradzić ze wzruszeniem. Wypowiadali słowa uwielbienia.

Ludzie ci przekroczyli wiek pensjonarski, kiedy to uwielbia się kogoś za wygląd. Myślę, że ich stosunek do Eichlerówny jest wynikiem odnajdywania w niej pewnej idei: idei ludzkiej wielkości, która musi przetrwać, choć wciśnięta pod formę codzienności. To znaczy: na odwrót, niż mówiła Eichlerówna. Jej postawa — by uproszczyć — wyrażała

heroizm zdyscyplinowania wewnętrznych energii; ludzie ci odnajdują w niej tę energię i żywotność, która się właśnie nie da tłumaczyć ani ostatecznie opanować przez żadną formę. Jest to pokolenie, które przeżyło wojny i totalne kryzysy ideologiczne i które nie wierzy bez zastrzeżeń w żadne formy i formuły. A jednocześnie codzienność wtłacza ich w ustalone, skostniałe formy bycia. Cały wysiłek wtedy — to nie dać się przez te formy pokonać, nie zatracić się w nich. Gdy codzienny kolowrotek zbyt wciągnie — przeciwważyć to może kontakt ze sztuką, jaką reprezentuje Eichlerówna. I tym dla ludzi było to spotkanie.

Bardzo trudno jest sformułować, na czym polega — niewątpliwa przecież — wspólnota ideowa grywaną przez Eichlerównę postaci. Tworzy jednak zawsze ludzi dużego formatu. Nieważne, czy są to władcy, czy kobiety upadłe. Chodzi tu o ich ludzkie właściwości, chodzi o przeciwieństwo małostkowości, płaskości, chodzi o ich wewnętrzną wobec siebie uczciwość. Chodzi o ludzi nie zagubionych w przesądach i stereotypach. We wszystkich rolach potrafi, tworząc postaci, sięgnąć do takiego rdzenia osobowości, który jest już poza psychiką i intelektem. Znajduje taką ideę człowieka, która jest już poza i ponad jego słowami i czynami. Na tym polega największe aktorstwo. Bo też na tym polega ludzka wielkość: na umiejętności przekroczenia własnej formy, własnej współczesności.

Wielu ludzi nazywa ją aktorką „niewspółczesną”. Mówi się o jej zaśpiewie („przecież ja inaczej na co dzień nie mówię, taki już mam głos — prawda?”), mówi się o jej stylizowanym geście. Ale nie o spr-

K R E A C J A

KREACJA

(Dokończenie ze str. 9)

wy techniki tu chyba chodzi, kłóczy się o wiele głębiej. Eichlerówna tworzy postaci *ponad* miarę swoich słów i czynów, zaledwie *uwikłane* w sprawy swojej epoki, ale zdolne przekroczyć obowiązujące konwencje; co najwyżej te konwencje dobrowolnie przyjmują. Natomiast dramata współczesny — przyznajmy — okupują na ogół postaci ludzi zagubionych, małych, rozłożonych na sumę swoich popędów i obiegowych stereotypów. Ludzi *podporządkowanych* swojej epoce, ludzi *na miarę*

swoich słów i czynów. Taki też panuje w teatrach styl gry, nawet w odniesieniu do sztuk niewspółczesnych. Wciąż za odkrywcze uchodzą spektakle, w których się rewiduje wielkie mity ukazując je „od kuchni”. Często, bardzo często — pozostaje już tylko kuchnia. Nie ma sensu wartościować tego stanu rzeczy, niemniej taka sztuka jest zawsze sztuką doraźną. Jest potrzebna, bo biorąc pod mikroskop i kompromitując formy dzisiejszości oczyszcza przedpole dla nowych dokonań. Ale źle się dzieje, gdy ma zbyt wielką przewagę.

Myślę, że „niewspółczesność” Eichlerówny jest właśnie współczesnością najistotniejszą, bo — nie bójmy się tego słowa — ponadczasową. Jak ponadczasowa jest idea

ludzkiej wielkości, która właśnie znaczy umiejętność przekraczania własnej współczesności, i która jest zawsze aktualna, mimo że tyle razy zmieniała swą konkretną treść. Ale jej mechanizm, zasada — pozostała ta sama. Bo ateizm, prawdziwy ateizm polega przecież nie na zamordowaniu Boga, ale na przeniesieniu jego siedziby z nieba na ziemię.

5 Bez względu na to, na jak wielką ilość niezależnych sił rozbija człowieka myśl teoretyczna, na co dzień — dla siebie i dla innych — pozostanie on jednością. I będzie się, bardziej lub mniej świadomie — jako jedność — modelował, zwalczając przypadek i siły sprzeczne z wybranym mode-

lem. Taka walka, gdy serio prowadzona — angażuje całą psychikę. Jest to walka metafizyczna, bo ścierają się tu dwie zasadnicze siły: wewnętrzna anarchia i przyjęta dyscyplina. Można je nazwać: Dobro i Zło. Tu, w miejscu ich starcia, leży ludzka wielkość. Można ją nazwać tragiczną bądź absurdalną — zależnie od oceny przyjętego modelu. Ale jest to wielkość ludzka i rangę nadaje jej jednostkowa cena, którą się za nią płaci. (Na marginesie; dlatego to wielcy aktorzy mogą tworzyć największe kreacje na szmirowatym materiale — bo liczy się cena, a nie towar. Z drugiej strony rozważania Hamleta byłyby warte śmiechu, gdyby nie miały poparcia trupów. Oczywiście, istnieje i powinna istnieć hierarchia warto-

ści niezależnych od tej ceny, ale dramatyczność tej hierarchii nie zna.)

Eichlerówna na spotkanie przyniosła ze sobą ideę: uprzejmość, utożsamianą z dyscypliną i inteligencją. Dziwna to idea. Bardzo lekceważona na ogół. Ale dzięki wyuczalnemu ogromowi psychicznej treści, którą ona wkłada w tę ideę, nagle — pogardzana — okazuje się być warunkiem koniecznym egzystencji. Łaknienie życzliwości nagle daje się utożsamieć z pojęciami największymi: z pojęciem szacunku dla człowieka w ogóle. Bo została poparta wielkością przyjętej dyscypliny. Na tym piętrze powstają już mity.

MICHAŁ MASŁOWSKI